

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

# MELANCHOLIA



KAZIMIERZ TETMAJER

(Z portretem autora).

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SP.

1899

*Panu*  
*Janowi Siekluckiemu*

*książkę tę poświęcam.*

MELANCHOLIA



## WSPOMNIENIE.

---

Stało się konającemu bardzo ciemno w oczach i czuł, że śmierć się zbliża — więc począł patrzeć wstecz, poza siebie, chcąc raz jeszcze zobaczyć życie.

I przechodziły mu przed oczyma różne twarze, cichym i długim szeregiem, a każda twarz niesła wspomnienie boleści lub rozkoszy. Że zaś wspomnienia boleści przeważały o wiele, umierający myślał, że nie warto żałować, iż więcej twarzy tych już nie zobaczy.

Ale nagle, z tłumy, błysnęło ku niemu dwoje oczu, pełnych łez — poznał je, i odpędziwszy resztę mar, patrzeć w nie począł.

Były to oczy starca, żebraka, któremu w mroźną noc oddał płaszcz, zdjawszy go ze swych ramion.

I żał go zdjął, że już po raz ostatni ma wspomnienie tych oczu i że ich nie będzie mógł wspominać po śmierci...

---

## S A D.

---

Dusza wyszła z ciała i wziął ją anioł za rękę i wiódł w jakieś pustkowia szare i smutne i posadził ją na kamieniu. A z góry, z ponad ołowianej szarości mgieł rozpostartych, ozwał się głos: Sądź się sama!...

I zaraz przed oczyma duszy poczęła się toczyć rzeka, której woda, poznała dusza, iż była z samych łez, lecz mętna.

A anioł rzekł: Patrz, oto łzy, które wycisnęłaś ludziom, będąc tam, na ziemi.

A dusza odrzekła: Tak, ale tu i moje łzy płyną zmieszane.

I po trzykroć ozwał się anioł do duszy i po trzykroć ona mu odpowiedziała.

Ale nagle mętna woda rzeki stała się czysta, jak kryształ i głęboka bardzo. I anioł rzekł: Łzy matki twojej.

A dusza, zastanawiając, odpowiedziała: Otom jest winną, bo tu niema moich łez zmieszanych,

---

## C I E Ń.

---

Wszędzie idzie za człowiekiem cień i nie opuszcza go nigdy, w dzień, ani w noc. Często człowiek patrzy nań, a nie widzi go, podobnie, jak się nie widzi czasem drzew, które przed domem rosną, kędy dawno mieszkamy, albo przechodniów na ulicy, kiedy inna myśl dominuje.

Ale ten cień jest przy człowieku zawsze, i wtedy, kiedy jako niemowlę pierś matki chwytą, i kiedy omdlewającej w miłosnym uścisku kobiecie w przymknięte oczy patrzy, szukając w nich wstydu i silniejszego nadeń pragnienia, i wtedy, kiedy na wiosenną trawę patrząc myśli, że przyszła wiosna może już na jego grobie trawę zazieleni.

Dzień i noc, zawsze i wszędzie, idzie ten cień za człowiekiem, wierniejszy niż żądza szczęścia, wierny, jak samotność — tym cieniem jest śmierć.

---

## MIŁOŚĆ.

Zdawało mi się, że widziałem wszystkie godziny, jakie jeszcze mam przeżyć, lecące powoli przed memi oczyma, jak stado mew o zachodzie słońca, kiedy dzień jest upalny.

Wszystkich godzin mego życia białe pierwotnie skrzydła, poplamione były krwią, moją krwią własną, jedna tylko, ostatnia, miała skrzydła białe i czyste.

Więc pomyślałem, że przynajmniej śmierć będę miał słodką i spokojną...

Wtem przyszła ona, ta kobieta, którą kocham, i zobaczywszy godziny, które mam jeszcze przeżyć, iż były wszystkie skrwawione, a tylko ostatnia białą była i czystą — rzekła:

— Chcę, aby i ta była, jak inne.

Nie zapytałem jej: czemu?

A potem rzekła:

— Ale zkad wziąć krwi?

Wówczas wskazałem jej na moje serce i podając jej sztylet, rzekłem:

— Uderz.

Kiedy podniosła rękę by uderzyć, myślałem tylko, czy potrafię stłumić jęk, aby jej nie przerazić, a gdy uderzyła, choć ból był szalony, nie jęknąłem.

Krew, która wytrysła z mego serca, splamiła skrzydła ostatniej godziny mego życia, białe i czyste. Więc pomyślałem, że będę miał i śmierć nawet gorzką i straszną, alem nie pytał, dlaczego mi ta kobieta tak uczyniła?

Chciała tak — a ja ją kocham.

## R Ó Ż A.

Stałem raz na nicejskiem wybrzeżu, trzymając różę purpurową w rękę.

Przedemną było morze, złoto-błękitne, fioletowo-srebrne, ciche, słoneczne morze o południu słonecznem.

Rozkołysane perły, szmaragdy i opale fali po-brzeżnej podbiegały mi pod stopy, szumiąc jednostajnie i rytmicznie, jak harfa w jedną strunę palcem uderzana.

Na niebie czystem i szafirowo-złotem, stało ogromne, pełne ognia słońce. Była to wiosna.

Kilka białych mew krążyło nad wodą, to muskając jej powierzchnię pierśią, to podnosząc się w górę: tak latają motyle nad łąką.

W dali, ku wschodowi, siedł statek, wlekąc za sobą siwą wstęgę dymu i wolno z oczu ginął w wodnej pustce.

Rzuciłem różę na wodę.

Fala szła wstecz i wstecz ją poniosła.

Widziałem, jak się oddalała, purpurowa na-przód na perłowej pianie, a potem bledsza na szmaragdach morskich.

Ale za chwilę do stóp mi przybiegła z powrotem fali.

Spostrzegłem tylko, że kilka listków oderwanych przez prąd od kielicha, przyplęnęło osobno.

I znów fala wstecz poszła i wstecz różę odniosła; ale za chwilę kwiat był u stóp moich z powrotem fali.

Tylko więcej listków, przez prąd oderwanych, przyplęnęło osobno.

Stałem długo nad morzem — fala szła ku mnie i wstecz odpływała, przynosząc mi do stóp coraz mniejszy kwiat róży i coraz więcej listków z kwiatu oderwanych.

Aż wreszcie nie pozostało zeń nic, tylko garść listków, rzuconych na wodę

I morze niesło je ku mnie ciągle i ciągle...

Czy nie bywa tak z sercem? Wreszcie do stóp przyplęta na garść listków rozbite.

## NA WEZUWIUSZU.

Pewnej wiosny, ze szczytu Wezuwiusza patrzałem na morze.

Był zachód słońca. Fala, cicha, jak sen, grała w kolorach złota, ponsu i szafiru.

Nieruchome, spokojne, małe okręty rybackie, łowem koralu zajęte, bieleły się żaglami na wodzie, pochylone na bok, podobne do nenufarów, kwitnących na jeziorze.

Cicho było dziwnie.

W dali widać było Neapol, od zachodzącego słońca różowy, i hen, aż ku Polom Elizejskim, szła przestrzeń błękitniejszej w zmierzchu, zamysłonej ziemi. Kapryjskiej wyspy skała podnosiła się z morza, lekko różowa i cieniem przesłana podłużnym; nad Sorrentem i zatoką morską, śniegiem u szczytu srebrzyła się góra Świętego Anioła, i hen od niej biegły olbrzymim kręgiem, fioletowo-niebieskie i różowo-pozłociste kopy gór włoskich, podobne do rozkołysanych fal oceanu.

Niebo, nad wstęgą gór jasne, w światłach metalicznego amarantu i żółto-błękitnych kolorach, szarzało na wschodzie, i stawało się senne. Na Pompei padł mrok; miasto umarłych ginęło, jakby w mgłę jakiejś wielkiej i spokojnej.

Szedł wieczór.

Cicho było dziwnie, tylko Wezuwiusz niekiedy wyrzucał w strop słupy czerwonej lawy, z humem i trzaskiem, i rozsypywał ją w powietrzu, że podobną się stawała do ogromnego stada płomiennych ptaków, które z szumem chmurą spadały na zbocze krateru, lśniąc jeszcze długo na ziemi, złowrogo, strasznie i jakby całej naturze przeciwie.

A kiedy wybuch zgąś, znowu było dziwnie cicho.

Byłem tam sam, daleko od domu, który już zresztą nie jest moim domem — i naprzód czułem brak, że nie mam przy sobie nikogo, komu bym mógł powiedzieć: „Patrz!” — a potem uczułem, że nie braknie mi nikt, bo nikogo nie miałem nigdzie...



## SKALNY MOTYL.

Szedłem raz w Żelazne Wrota w Tatrach. Za sobą, nad liptowskiemi górami, miałem burzę, która w ceglasto-sinej chmurze wisiała, bijąc w ciemne lasy złotemi piorunami, pełna grzmotu i ryku. Tatry huczały echem. Nad chmurą była jakby łuna ogromna, krwawa i straszna.

W koło mnie były turnie, nagie, skrzesane, granitowe skały, których nawet mech się nie mógł chwycić. Olbrzymie obeliski skalne strzelały wzwyz z pomiędzy olbrzymich piramid, zawieszając się wierzchołkiem gdzieś w zawrotnej wyżynie.

W dole była otchłań gruzu i łomu, spiętrzone zwały granitów, dzikie, puste i głuche; nad głową niebo przedzmiernie, szare i smutne.

Nigdzie trawy jednej, nigdzie mchu kępki, tylko łom i gruz, piarg szeleszczący i ośliżte płyty granitowe. Pustka śmiertelna.

W tem zaszeleściło coś w powietrzu: od ściany

do ściany żlebu, którym szedłem, przeleciał mały ptaszek, skalny motyl, jak go zowią górale.

Z załomu na załom wznosił się coraz wyżej i wyżej, ze skały na skałę, aż znikł kędys w zawrotnej wyżynie, wśród iglic i przepastnych łuków.

Tam, w oddali, była burza i lasy ciemne, tam niżej na dolinie, były miasta i zboża dojrzale, było życie, był ruch, a ten ptak, wszystkiemu daleki, wszystkiemu obcy i niczemu niewidzialny, unosił się tu nad przepaściami, w niezmiernej wysokości i w niezmiernej pustce.

Prawda? Jest coś w duszy ludzkiej, co jest podobne do tego skalnego motyla: lata wyżej, niż burze i niż lasy, niż miasta i zboża, niż życie i ruch, wszystkiemu dalekie, wszystkiemu obce, zaledwie czasem dostrzegalne myśli, na chwilę, i tak, jak ten ptak oczom, ginące jej w zawrotnej wyżynie.

## NAD POTOKIEM.

Szumie potoku górskiego, szumie potoku...  
Z zamkniętymi oczami słucham cię, jak idziesz  
ciągly, jednotonny, wieczny...

A duszę moją ogarnia taki żal, taki smutek  
niezmierny.

Oto mi ten szum od lat całych, od najwcześniejszego dzieciństwa znany, zawsze ten sam, jednotonny i wieczny — i kiedy sięgam w przeszłość pamięcią, ileż to razy widzę siebie nad tym potokiem górskim, tak samo z zamkniętymi oczyma wsłuchanym weń, z takim samym żalem, z takim samym niezmiernym smutkiem w duszy.

Szły lata mego dzieciństwa, szły lata mojej wiosennej młodości, i dziś idą lata życia coraz dalej, coraz dalej i niepowrotnie — i znów stoję dziś nad tym potokiem, z tym samym żalem w duszy, z tym samym niezmiernym w niej smutkiem.

Jakbym żałował czegoś, com opuścił, i czegoś, co nie przyjdzie; jakbym się smucił stratą rzeczy mi drogiej, której nie widziałem, a tylko przeczuć mogę, że jest; jakbym tęsknił ku czemuś, co odchodzi, a nigdy nawet nie stało przy mnie...

Ileż to razy wyciągałem ręce ku uśmiechom osu, które były zwodne — i potem stawałem nad tym potokiem górskim, z zamkniętymi oczami, wsłuchany w jego szum jednotonny i wieczny, z tym żalem i z tym smutkiem niezmiernym w duszy...

Zawszeż tak będzie?

Nigdyż, nigdy nad tą wodą szumiącą nie będę miał w duszy innego uczucia, tylko ten żal i ten smutek niezmierny?

## SZCZĘŚCIE.

Nie mówmy o szczęściu, którego pragniemy,  
nie mówmy o niem...

Szczęście jest, jak mały ptaszek... łatwo je  
spłoszyć.

Czekajmy cicho, nie mówmy o niem, nawet  
nie myślmy... w ciszy serca, w głębi serca,  
pragnijmy go, tając przed własną myślą to pra-  
gnienie.

Bo szczęście jest, jak światło w chmurach:  
wyjrzy na chwilę, zamigoce, ale tak łatwo na-  
powrót się kryje.

Nie wzywajmy szczęścia, nie dążmy ku nie-  
mu, nie walczmy oń; jak dzieci, którym się  
w Boże Narodzenie śni, że Chrystus do nich  
przyjdzie z podarkami i czekają nań trwożne,  
ciche a niecierpliwe w obawie; czekajmy.

Jeśli ma przyjść, przyjdzie... nie idźmy ku  
niemu.

Szczęście jest, jak słońce, o którym marzą

kwiaty, jeden tylko dzień kwitnące... one nie  
mogą ku niemu iść, czekają.

Jeśli dzień jasny, przyjdzie; jeśli chmury za-  
kryją niebo, czekają próżno.

Uwiędną i nie zobaczą słońca. Wieczorem,  
w godzinie śmierci, będą mówiły: otośmy próżno  
otwarły ku niemu kielichy nasze... nie przy-  
szło...

Czekajmy cicho na szczęście... ono jest dla  
serc, czem słońce dla kwiatów, które tylko je-  
den dzień kwitną... — jeśli ma przyjść, przyjdzie.

Nie mówmy o szczęściu, którego pragniemy,  
nie mówmy o niem... — płochliwe jest, jak ptak.

## ŻÓRAWIE.

Widziałem raz żorawie, odlatujące na wschód wielkim stadem.

Był to jesienny wieczór, pełen smętnego fioletu i ciszy, jak zwykle o tej porze w Tatrach.

Żorawie leciały wolno, czerniąc się nad różowemi ostatnim różem słonecznym górami.

Patrzałem za nimi długo, dopóki nie znikły, z coraz większym smutkiem. Nie wiem, czemu wydało mi się, że się te żorawie obłąkają na morzu i nie powrócą już nigdy.

Leciały gdzieś w bezden powietrzną, w dal, tak posępne oku, jakby i one czuły, że lecą tędy po raz ostatni, że nie powrócą już nigdy, już nigdy.

W głuchym jęku harfy rozbitej niema więcej smutku, jak w tem słowie: nigdy.

Ani tatrzański wiatr, bijąc skrzydłami o lód na zamarzłych jeziorach, nie jęczy smutniej...

Skarga drzew podciętych, które wyciągają ku

słońcu konary, jest w tem słowie i spojrzenie oczu ludzi umierających.

I co ma czynić człowiek, od którego wiara w rzecz najdroższą odlatuje, jak te żorawie, o których nie wiem czemu myślałem, że się obłąkają na morzu i nie powrócą już nigdy?...

## J O D Ł A.

Jechałem raz drogą pustą ku lasowi o zmroku. Wiatr dął od gór i wysoki, wysmukły las świerków i jodeł pochylał się ciemną ławą wierzchołków. Od gór szły posępne chmury deszczowe, zda się, dźwigając z sobą i niosąc olbrzymie złomy skalne. Sanie biegły cicho po zwilgłym śniegu. Naokoło nic, tylko pochylający się za wiatrem las i zsunięte tu przed tysiącem wieków głązy. Martwota Tatr. Taki smutek legł w tym lesie, jakby dusza natury tu już umarła. Nie może bić serce ziemi pod taką pustką. To jest kres życia.

W mgły, w przeciętą linię drzew szła droga, a świerki i jodły gięły się równo i prostowały pod wiatrem jak zboże. Ale o konary jednej jodły oparta zwiślała wierzchołkiem z wysoka ku ziemi inna jodła, przez śnieg kiedyś i przez burze ochwiana w korzeniach. Żyła jeszcze, ale wiodła i z całej tej ściany kołyszących się strze-

listych drzew, ona jedna wysuwała się głową, podobna do dziewczyny, która czeka śmierci na ramieniu swojej przyjaciółki. A naokoło zmrok, chmury deszczowe i olbrzymie unoszące się gdzieś w otchłani mgły i mroku turnie i urwiska tatrzańskie.

Wówczas duszę moją wypełniła melancholia.

## DO KOBIETY.

Stoisz przedemną. W twarzy twojej jakoby wiele twarzy i w kształcie twym jakoby wiele kształtów. Jesteś jedna, ale imię twoje: wiele.

Oczy twoje świecą, jak źródła wśród sitowi, nęcące urokiem wędrowca, jak źródła na trzęsawiskach; włosy twoje pachną i są jak płaszczy w czas zimnej nocy; usta twoje są upojeniem śmiertelnem.

Jak zaciszę różanych krzewów, co nad głowę sięgają: zaciszę twoich ramion; jak ciepło słoneczne: łono twoje; jak rozkołysany leniwie ruch fal morskich w południe letnie: ruch bioder twoich. W dłoniach twych słodycz miodu i czar poranków wiosennych; w ciele twem otchłani rozkoszy, jak w widoku górskim na łąki i pola, kiedy lipcowe słońce je ozłoci i lipcowe niebo obłąkitni.

Głos twój jak gwiazdy, które wschodzą, za każdym słowem jedna, aż naokoło duszy niema

nie, tylko ta jedna melodia złota, brylantów i szafirow, ta owiej gwiazd — — a to są słowa twoje.

I są, jak zieleń łąk, jak światło słońca z dalekiej zieleni przez wodę rzucone i jak dźwięk wiecznej tęsknoty.

O upojenie! O szal zmysłów! O bezdeń!

A dusza twoja wydaje się, jak uśmiech Boga — — i cóż może być od ciebie piękniejszego, co nie jest bóstwem? I co godniejszego kochania?

Więc kochać cię chcę całą mą istotą, krwią, mózgiem, sercem, wolą, wszystkimi siłami moimi, wszystkim duchem moim i wszystkim ciałem moim, życiem moim i aż do śmierci...

Kochać cię chcę, wielbić, ubóstwiać, sławić.

Dla ciebie chcę być dobrym, dla ciebie do wszelkiej szlachetnej ofiary zdolnym.

Czuję, jak mi otwierasz Nowy Żywot, Żywot Piękna i Dobra...

Jesteś Ogniem, który wypala ze mnie wszystko złe; jesteś Wodą, która mnie oczyszcza ze wszelkiej zmazy.

Aby ciebie być godnym, chciałbym być godnym ręki Chrystusa na czoło...

Stoisz przedemną. W twarzy twojej jakoby wiele twarzy, a w kształcie twym jakoby wiele kształtów. Jesteś jedna, ale imię twoje: wiele.

Symbolu!...

I oto muszę się zapytać: czy jesteś przede-  
wszystkiem bezmyślna, czy licha?

Ludzie zaręczają mi, że są inne kobiety —  
wierzę im — — na słowo.

## ZŁA PRZYSZŁOŚĆ.

Patrz spokojnie w złą przyszłość; cóż pora-  
dzisz, choćbyś patrzył inaczej, jeżeli jest nie-  
unikniona?

Ah! Tylko taki ból, taki żal porywa...

Jakże inaczej szumiał las, jakże inaczej szu-  
miała woda, nim się to stało, co złą przyszłość  
uczyniło konieczną...

Jakże inaczej świeciło słońce, jakże inaczej  
podnosiły się ręce i nogi, jakże inaczej oddy-  
chałeś, czułeś i myślał...

Byłeś innym człowiekiem, nim się to stało,  
co złą przyszłość uczyniło konieczną.

Pamiętasz to...

Cobyś dał za to, żeby się móc obudzić, jak  
dawniej do myśli o życiu, nie do myśli o swojej  
złej przyszłości...

Zła przyszłość, którą widzisz, którą znasz,  
ma do siebie jedno: nie można myśleć o czem  
innem.

Cobyś dał za to, żeby się obudzić tak, jak dawniej!...

Czem są twoje dawniejsze cierpienia, bóle, zawody, wobec tej chwili, w której ujrzałeś przed sobą konieczność złej przyszłości!...

Żyjesz, jak skazany na śmierć, albo na tortury nieuniknione. Każdy kawałek chleba twego jest gorzki, każda godzina twoja jest przerażeniem, każde zastanowienie się jest śmiercią...

Strach jest przed tobą i czara pełna piotunu u twoich warg, i sierp ostry naprzeciw dłoni twoich i cień pod twoją stopą.

Oh klęska, klęska, klęska, po trzykroć klęska jest świadomość, jest wiedza swojej złej przyszłości!...

## DO ŚMIERCI.

### I.

O śmierci! biała i cicha śmierci: jesteśmy sami ze sobą, we dwoje, jak para kochanków — czemuż ust nie zbliżysz mi ku ustom?

Widzę cię — siedzisz na mojem łóżku, z którego przed chwilą wstałem, biała, cicha, w białe muszliny owiana, z różowymi ustami i pełnymi uśmiechu błękitnymi oczyma — o jakżeś słiczna! Czy tam przyjdiesz wziąć mnie w uściski?

Dlaczegoż nie zbliżasz się ku mnie; oblubienico moja, piękna moja? Twoje włosy wonne, ich woń czuję nozdrzami, twoje ciało miękkie, ciepłe, w łukach rozkosznych gięte — — dlaczegoż nie zbliżasz się ku mnie?

W oczach twoich, w uśmiechu ust twych widzę miłość i pragnienie; ty kochasz mnie i pragniesz. Dlaczegoż nie przybliżysz się ku mnie?

I tylko cicho siedzimy we dwoje, wiedząc



o sobie, patrząc na siebie i pragnąc się nawzajem — o jakżeś piękna, o śmierci!...

Ja nie mam sił do ciebie pójść — zaiste! czekam cię! zaprawdę mówię ci: czekam cię! Przyjdź! Potwór o trupiej głowie, suchych, kościanych rękach, wampir, który krew z żył ssie, który zabija myśl, zwęglą serce, gruchoce i miazdży duszę i ciało, na drzazgi rozbija wolę i moc, to straszne, wściekle zwierzę, które się życiem nazywa, czołga się znowu ku mnie — ah! dasz-że mnie znów gryźć, dasz-że mi znów ginąć, konać i umrzeć niemoc?... Ja nie chcę już tej męki! Już nie mam sił!... I po co?...

Cicha i blada uśmiechasz się do mnie. Róże na twojej głowie, róże w twych dłoniach, ciało twoje pełne, wspaniałe, piersi twoje lekko falują, a biodra zdają się drżeć do dotknięcia — i jakaś zielen się koło ciebie roztarza, jakieś niebo błękitne, gaje, kwiaty, słońce — tak sobie malarze wiosnę, albo życie marzą, o śmierci!

Patrz na mnie, patrz, patrz i uśmiechaj się — abym się rozmiłował w tobie do ostatka, abym niepomny niczego, na nic nie bacząc, o nic nie dbając, runął w objęcia twoje, w twoje białe wonne ramiona, ku twoim ustom różanym i wonnym — o śmierci!...

## II.

O śmierci! Wydawałaś mi się tak piękną, tak ponętą, kiedy wabiłaś mię ku sobie — a teraz, gdy chcę się zbliżyć, stajesz się coraz straszliwszą. Siedzisz tam na mojem łóżku, kościana, straszna, całun przegniły, co z trupich twych ramion spadł, cuchnie, a puste doły twych oczu patrzą jak otchłań, jak przepaść. Już nie wzywaj mnie, ale czekasz na moje wezwanie. Przyjdziesz. Jedna chwila decyzji, a przyjdiesz. Kościane twoje ręce owiną mi głowę, cuchnący twój całun padnie mi na oczy, z chrzęstem szkieletu przysuniesz się ku mnie. A tam — tam — zostanie życie... Tam zostanie słońce, zostanie rozkosz, zostaną kwiaty i morza błękitne i góry w śniegach i lasy, gdzie wiatr szumi w konarach i gdzie sarny po liściach biegnąc szleszczą, zostaną jeziora ciche i rzeki, w których się o zimroku cień wiklin nadbrzeżnych odbija, zostanie miłość, zostanie piękność, zostaną idee o orlich skrzydłach, zostanie wszystko, wszystko, co się nazywa życiem, ten cud, który się życiem zwie, ten raj, ta boskość wrażeń...

O śmierci! o śmierci! jakżeś straszna, jakżeś ohydna! Gdzież to mnie wepchniesz, w ciasny, czarny dół, pod ziemię, pod grubą warstwę

ziemi, z pod której się już nigdy, nigdy nie wydobędę, gdzie będę gnił, rozpadał się, cuchnął, gdzie stanę się zgnilizną i niczem... O śmierci! Dlaczegoż jesteś tak piękna, gdy wabisz, a tak okropna, gdy się ciebie wzywa?...

#### ZA SZYBĄ SZKLANĄ.

Niektórzy z nas siedzą za szybą szklaną. Jest ona tak cienka, że wydaje się, jakby jej nie było. A jednak ona jest, bo wyciągnijmy tylko rękę, a natrafimy na nią.

Widać z poza niej wszystko tak wyraźnie, jakby jej nie było. Ludzie przechodzą tak blisko, jakby nas od nich nie dzieliło nic. I gdy ręki, albo ust nie wyciągamy, możemy myśleć, nawet wierzyć, że nas nic od nich nie dzieli.

Dlaczegoż przyszedłeś? Dlaczegoż przechodzisz przed memi oczyma w majestacie twojej królewskiej piękności i w płomieniu mego ukochania? Dlaczegoż przyszedłeś? Wyciągnąłem rękę — — tyś nawet nie dostrzegła mego ruchu, bom już napotkał tę szybę szklaną, którą niektórych z nas los odgrodził od świata.

I ty pójdziesz dalej, a ja zostanę za szybą szklaną i będę cię widział, jak będziesz szła coraz dalej, coraz dalej i niknąć będziesz mi

z oczu wśród setek czoł i piersi pochylonych  
ku twojej królewskiej piękności... To będę wi-  
dział z po za mojej szyby szklanej, z po za  
której widać tak wyraźnie, jakby jej wcale nie  
było, a którą niektórzy z nas są od świata  
odcięci.



BAJKA



## JEDNA Z BAJEK.

---

... Pochyl ku mnie główkę i posłuchaj...

Kiedy jeszcze bogowie obcowali z ludźmi, pewien poeta ateński ułożył na cześć Zeusa hymn, który tak rozradował serce gromowładnego, iż postanowił poetę nagrodzić podług miary swej radości. Zstąpił więc z Olimpu na ziemię, ogromny i promienisty, do słońca, które wyjdzie nad las, podobny, w miejscu, gdzie poeta na skale nadwodnej usiadłszy, z czołem na dłoni opartem, patrzył na błękitną nieskończoność morza i wsłuchiwał się w jednotonny, pełen upajającego zamyslenia szum fal półsennych. Ujrawszy pana ziemi i nieba przed sobą, strwożył się poeta, lecz Zeus ozwał się doń łagodnie:

— Uczciłeś mię pieśnią godną mej chwały i potęgi świętej — otoć nagrodzę. Dam twemu słowu moc i czar, iż na dźwięk jego morze przylegnie i słuchać cię będzie, a płynące po niebie obłoki lot zatrzymają; dam twemu słowu moc

i czar, iż najlepsi mężowie za pieśń twą zносить złoto i purpurę i będziesz im, jak żoraw, który stadu przewodzi, a najpiękniejsze kobiety ofiarują ci swe dusze różowe i ciała białe i wonne. Uczynię możnym, bogatym i szczęśliwym.

Ale poeta, potrząsnawszy głową, odrzekł:

— Ojcie bogów i ludzi, nagroda twa i skarby twoje nad zasługę śmiertelnych, godne twej nieśmiertelnej i wszechwładnej ręki — mnie ich jednak nie trzeba. Jam już bogaty, możny i szczęśliwy.

Zdumiał się olimpijczyk.

— Jakże to? — spytał. — Na barkach twoich, o poeto, widzę płaszcz zakurzony i kurz widzę z dróg ciężkich i trudzących na nogach twoich, a w rękę twych wędrowny kij. Smutek worał się bruzdami w twe czoło, w ustach twych mieszka gorycz i żal, a witałeś kiedy złoty wóz Heliosa uśmiechem? Bez domu jesteś, jak ptak, któremu spłonęło gniazdo. samotny jesteś, jak górski głóg na skale — jakżeś to możny, bogaty i szczęśliwy? Cóż ty masz?

Ów zaś odparł:

— Jedno kobiecie serce, które mnie słucha.

Uśmiechnął się ojciec bogów i ludzi, i kładąc promienistą dłoń na ramieniu poety, powiedział:

— A jeśli uczynię, że cię słuchać nie będzie?  
— Wtedy daj mi śmierć — rzekł poeta.

\* \* \*

Atoli Pan sprzeka, co nieopodał w gąszczu leżał, kozie nogi na krzyż założywszy, i gałązką wonnego mirtu muchy od siebie odganiał, ozwał się grubym basem:

— Wtedy daj mu inną, ojcie Zeusie.

## SPIS RZECZY.

	Str.
MELANCHOLIA.	
Wspomnienie . . . . .	3
Sąd . . . . .	4
Cień . . . . .	5
Miłość . . . . .	6
Róża . . . . .	8
Na Wezuwiuszu . . . . .	10
Skalny motyl . . . . .	12
Nad potokiem . . . . .	14
Szczęście . . . . .	16
Żórawie . . . . .	18
Jodła . . . . .	20
Do kobiety . . . . .	22
Zła przyszłość . . . . .	25
Do śmierci . . . . .	27
Za szybą szklaną . . . . .	31
BAJKA.	
Jedna z bajek . . . . .	35
NOWELLE.	
Rzeźbiarz Merten . . . . .	41
Ku niebu . . . . .	81

Ze wspomnień malarza . . . . .	91
Laureat . . . . .	95
Dzwonek topielców . . . . .	102
»Panie« . . . . .	108
Ksiądz Piotr . . . . .	118

### LISTY Z PODRÓŻY.

Z Zakopanego . . . . .	149
Z Desenzano . . . . .	164
Z pod »Żelaznych Wrót« i »Żelaznej bramy« . . . . .	174

### FANTAZYE DRAMATYCZNE.

Sfinks . . . . .	187
Wizya okrętu . . . . .	228